Nr. 32 (23) Lwów, dnia 10. Listopada 1888 r. Rok I (II)

Pismo poświęcone literaturze, sztukom pięknym, nauce i sprawom społecznym.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawcy: **Józef Rogosz i Stanisław Błotnicki.** — Redakcja i Administracja *„Ruchu i Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ulica Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Ruch i Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

W rozpaczliwem swojem położeniu, nasz przyjaciel postanowił szukać wybiegu, co tem łatwiej mogło mu się udać, że siostrzeńca w domu nie było. Pan Miliński miał dopiero za kilka dni z Berlina wrócić. Ułożywszy sobie plan cały, przewiesił strzelbę przez ramię, oddawna bowiem ciągnęło go w pole, gdzie dużo zajęcy spotykał i niby przypadkiem zaszedł do kuchni. Na swoje szczęście zastał kucharza samego.

— Cóż przyjacielu, jutro piątek, a więc post, czy tak? — zapytał.

— Ta tak, proszę jaśnie pana.

— Jechał was sęk z takiemi zwyczajami barbarzyńskiemi! Ciekawym na co nam postów, czy czy my tacy grubi, czy co.

— Księża, proszę jaśnie pana, nakazują, bo u nas dokoła luterjany, więc sprawiedliwy Polak i katolik powinien się czemś wyróżniać.

Kucharz był człowiek inteligentny, bo przez długie lata u wielkich panów usługiwał i dopiero gdy się zanadto rozpił, musiał pójść na mniejszą pensję do szlachcica.

— Hm... tak.. — prawda mruknął pan Bielski. — Dobrze więc robicie, że pościcie, i jabym chętnie z wami trzymał, gdyby nie ta jedna bieda, że już od kiku lat choruję ciężko na katar żołądkowy, a post na tę chorobę jest bardzo niebezpieczny... Przez wzgląd na słabe moje zdrowie, przyszedłem prosić cię, mój słodziutki kochasiu — tu kucharza zaczął po twarzy głaskać — byś mi na jutro przygotował cichaczem kawałek jakiego posnego mięsa, najlepiej zrób potrawkę z cielęciny, ja jej tak samo nie lubię jak ryb, zjem też cichaczem, lecz przynajmniej jest trocha pożywniejsza od jarzynek i grzaneczek.

— Trudno będzie, proszę jaśnie pana, bo mi jutro nie wyda nikt mięsa.

— Tak? To głupia historja... Ale wiesz co, my i na to poradzimy. Masz tu mój słodziutki kochasiu talarka, kup mi za niego na wsi, w sekrecie, żeby o tem nikt w domu nie wiedział, tęgiego kuraka i upiec mi go gdziebądź, choćby nawet na słońcu. Skoro nie ma wołowiny, więc nawrócimy się do białego mięsa, zawsze nam to pan Bóg za zasługę poczyta. Zrób tak, zrób, a nie pożałujesz fatygi

To powiedziawszy, wsunął kucharzowi talara w rękę i otrymawszy od niego upewnienie, że stanie się jak rozkazał, poszedł strzelać zające. W ciągu godziny zabił ich pięć, strzelbę miał bowiem doskonałą, a oko jeszcze lepsze.

Nazajutrz jadł posny obiad z namaszczeniem, przyczem chwalił niezmiernie Wielkopolskę, że tak ściśle wypełnia przykazania kościelne, ale ledwie wstał od stołu, pobiegł zaraz do swego pokoju, kucharz bowiem już rano mu powiedział, że po obiedzie czeka go niespodzianka. Tu, na stole, niby mumja w białą bieliznę ubrana, zobaczył coś w papierze. Przyskoczył, rozwinął, oglądnął, powąchał. Pyszny kurak kochenchiński, a tak ślicznie upieczony, że można go było posłać na wystawę. W pierwszej chwili taki apetyt w nim się obudził, że zaraz chciał się wziąść do niego, lecz gdy pomyślał, że grzeszny zapach mógłby się rozejść po całym domu i cnotliwych zgorszyć, schował go do torby, którą na ramię zarzucił i legawca przywoławszy znowu wybiegł na zające.

Pod laskiem usiadł na ziemi i tak się zwinął, że w pół godziny zostały tylko kości, które dla wron rzucił. Wolniej odetchnął, wypił butelkę wę-

grzyna, (gdy na polowanie wychodził, o winie nigdy nie zapominał) nabił strzelbę i poszedł szukać zajęcy. Tym razem szczęście nie sprzyjało mu już tak jak wczoraj, bo kilka razy spudłował, ale mimo to nie przyszedł z próżnemi rękami, bo przyniósł trzy zające.

W najbliższą niedzielę po tym piątku, który na długie lata miał utkwić w pamięci pana Bielskiego, zostawiając w niej miłe wspomienie, o godzinie piątej rano, pan Miliński końmi najętemi wracał do domu. Smutny był bardzo. Starania jego tak w Wrocławiu, jak w Berlinie, spełzły na niczem. Wprawdzie w tem drugiem mieście w pewnej instytucji finansowej, dyrektor zrobił mu nadzieję mówiąc, że jeżeli tylko co do jego osoby otrzyma dobre „referencje," pięć tysięcy talarów pewnie mu pożyczy, ale nasz przyjaciel znał aż nadto dobrze stosunki, wśród których się znajdował, by mógł łudzić się bodaj chwilę. Wszak dyrektor zgłosi się po owe referencje tylko do niemca lub żyda, a ci czy napiszą przychylnie o jednym z tych Polaków, którychby pragnęli jak najprędzej pozbyć się z Wielkopolski? Rozum więc mówił mu, że z tej strony nie powinien spodziewać się pomocy.

I rozum niestety był na dobrej drodze. Właśnie gdy nasz przyjaciel tego dnia do obiadu siadał, listonosz przyniósł baronowi Maurycemu list z Berlina, w którym pewien dyrektor, pewnej instytucji finansowej, prosił go usilnie, by mu natychmiast doniósł, kto jest p. Henryk Miliński, tudzież czy zasługuje ten człowiek na zaufanie i kredyt. Baron natychmiast odpowiedział i to własnoręcznie, ponieważ pytający z góry prosił o dyskrecję. Że odpowiedź nie musiała być przychylną, okazało się najlepiej z tego, że w kilka dni później, nasz przyjaciel otrzymał od dyrektora uwiadomienie, iż mimo „najszczerszych chęci nie może dla niego nic uczynić."

Nie wyprzedzajmy jednak wypadków.

Pan Miliński wracał tedy o piątej rano do domu. Okna we dworze były jeszcze pozamykane, krom jednego na pierwszem piątrze, które wychodziło z pokoju pana Bielskiego. Czy on sam już wstał, tego nie można było wiedzieć, ponieważ zdawien dawna sypiał zawsze w lecie przy oknach otwartych.

Pan Miliński odprawiwszy konie przed bramą, kazał pierwszemu fornalowi, którego ujrzał, zabrać swoje rzeczy, sam zaś poszedł do gospodarstwa. Rzuciwszy okiem znawcy w prawo i w lewo, wstąpił do stajni, gdzie krowy stały. Jakież atoli było jego zdziwienie, gdy tu, na drewnianym stołeczku, w pobliżu wielkiego naczynia, do którego mleko zlewano, ujrzał Marynię siedzącą. Klucznica mierzyła mleko.

Na widok szwagra zerwała się i zakłopotana, jakby ją na karygodnym schwycił uczynku, pospieszyła go powitać.

— Jak się masz Henryku! Niespodziewaliśmy się ciebie dziś jeszcze.

— Dzień dobry Antosiu — odrzekł, w rękę ją całując. — Ale co ty tu robisz o tej godzinie?

— Przyszłam zobaczyć jak krowy doją.

— Miałożby cię to tak bardzo interesować?

Zamiast mu wprost odpowiedzieć, wzięła go za rękę, mówiąc:

— Chodź, chodź Henryku. Dieci już nie spią, ucieszą się tobą. Sprawisz im niespodziankę.

Wyszedł za nią na dwór, ale tu stanąwszy, znowu zapytał:

— Powiedz mi Antosiu prawdę coś robiła w oborze.

— Przecie wiesz, że lubię gospodarstwo.

Wiem, ale mimo to nigdyś dotąd tego nie czyniła, boś czasu nie miała.

— Tak ci się zdaje Henryku, ja czasu mam aż za wiele i dla tego...

Urwała i twarz jej zwykle blada, żywym spłonęła rumieńcem.

Więc cóż?—napierał zaintrygowany słowami: „dla tego," po których nic więcej nie usłyszał.

Dla tego, że mam czasu za wiele — zaczęła mówić rezolutnie, odwagę zebrawszy —powiedziałam tu sobie kiedyś, iż powinnam wglądać czasem w gospodarstwo kobiece, które bądź co bądź jest na łasce klucznicy. Chociaż to osoba bardzo rzetelna, zawsze nie zaszkodzi, jeźli będziemy ją nadzorowali Zresztą czy nie możemy i do tego doprowadzić, by się bez niej całkiem obejść? Ja wiem że ci ciężko Henryku.

— W każdym jednak razie nie tak jeszcze bardzo, bym z ciebie miał aż klucznicę zrobić.

— Kiedy ja Henryku, z największą przyjemnością podjęłabym się tego zajęcia! Ty może myślisz, że Bóg wie jak ono jest trudne, tymczasem wszystko jedynie na tem polega, żeby nie być leniwą i mieć choć trocha rozgarnienia... Już od trzech dni przypatruję sie jej pracy i wierz mi, jabym to wszystko robiła śpiewając i jeszczeby mi niemało czasu zostawało.

— Antosiu, ty masz serce anielskie — rzekł za rękę ją biorąc.

— Nie chwal mnie tylko przedwcześnie, bom sobie dotąd niczem na to nie zasłużyła. Chociaż wierz mi, z całej duszy radabym ci chociaż w czem być pomocną. Czy myślisz Henryku, że ja nie wiem iż aby się oszczędzić. tyś nawet cygara przestał palić, mimo żeś je tak lubił! Ty masz wielkie zgryzoty, ja to czuję, choć o nich nie mówisz, ale skoro nie pozwalasz, bym ci tak dopomogła, jakbym pragnęła, więc przynajmniej niech to czynię, co mnie nic nie kosztuje.

Nic na to nie odpowiedział, tylko jej rękę, którą dotąd trzymał, czulej ściskał.

— Jeszcze mi coś ważnego na myśl przyszło — dalej mówiła, jego milczeniem ośmielona. — Szwajcar, który mleko zabiera, ma żonę i troje dzieci, a chociaż ciągle się skarży, jakoś żyje i to wcale przyzwoicie. Musi więc nie zły mieć zarobek... Już trzy razy byłam u niego, przypatrywałam się jak wyrabia sery, jak masło i wierz mi, to wcale nie trudna historja...

— Kto chce z nabiału istotną ciągnąć korzyść, ten powinien mieć maszynę—szwagier jej przerwał.

— Może to i dobre, Henryku—żywo pochwyciła — ale ja sądzę, że maszyna opłaca się tylko w znacznie większych gospodarstwach w takiem zaś, jak twoje, najlepiej zdaje mi się, wyrabiać masło i sery po dawnemu, tak samo jak to dziś Szwajcar czyni... Wszak on i bez maszyny doskonale wychodzi. A żebyś ty wiedział, Henryku, ile on zarabia na samych wieprzach, które serwatką podkarmia i śrótowanem zbożem tuczy. Wszystko to powinienbyś zabierać ty Henryku!

Stanął i rękę jej ciągle jeszcze w swojej dłoni trzymając, spojrzał na nią.

Wyraz jej twarzy taki był szczery, serdeczny, oczy jej nieładne tak poczciwie na niego patrzały, że szczególnego teraz doznał wrażenia. W sercu uczuł żałość słodką, jakby wdzięczność, litość i tęsknota, razem w niem się tam zlały, przez myśl zaś z szybkością błyskawiczną przebiegł cały obraz jego życia z sześciu lat ubiegłych, tak pięknie rozpoczęty, tak smutno zakończony! Tam matka jego dzieci i pani tego gospodarstwa spała marząc o strojach i swojej piękności; tu jej siostra, chociaż dla niego żadnych nie miała obowiązków, prosiła go, by dla dobra jego rodziny, pozwolił jej się poświęcić. I za cóż była dlań tak dobrą, za co? Czy może starał się jej przypodobać? Nie! Czy ją w domu swojem wyszczególniał? Nigdy! Czy w jej sercu usiłował kiedy obudzić gorętsze, niż siostrzane uczucia? Ani mu to przez myśl przeszło! Ona sama także nie pytała czemu jest dobrą, dla czego jemu życzy jak bratu, ani czemu jego dzieci kocha. Postępując tak, a nie inaczej, czyniła tylko zadość wewnętrznej potrzebie, zaspokajała pragnienie serca, które jej nakazywało być prawdziwą kobietą, niosącą pomoc mężczyźnie...

Spoglądał na nią, a gdy jej rękę do ust poniósł, oczy łzami mu zaszły. Ona wzrok spuściła. Milczeli

— Powiedz mi, Antosiu, co tu ważnego zaszło pod moją nieobecność? — zaczął po chwili z udaną wesołością, aby zmienić przedmiot rozmowy, który go do głębi wzruszył.

— Wszystko szło po dawnemu.

— A nie było jakiej awantury między matką, a wujaszkiem.

— Między nimi? Właściwie nie było nic ważnego, tylko małe utarczki, jak zwykle.

— Z pewnością nic ważnego.

Takim tonem zapytał, że ona lękała się teraz usta otworzyć, aby przypadkiem za wiele nie powiedziała. To jednak wywołało skutek wręcz przeciwny zamierzonemu. Szwagier widząc, że Antosia waha się, zaczął badać i prosić, skutkiem czego acz bardzo oględnie, musiała w końcu opowiedzieć całą awanturę z topolami. Myślała że Henryk bardzo się tem zmartwi, wszelako stało się przeciwnie. Roześmiał się tylko i zawołał:

— Wielka szkoda, żem nie stał gdzie za murem i nie patrzył na tę scenę. Musiała być pyszna!

— Gdzie tam pyszna Henryku! Scena to była okropna.

— Bo ty Antosiu, bierzesz wszystkie te historje z ich strony tragicznej. Jeżeli sobie przypominasz, ja dawniej tak samo postępowałem i dla tego bardzom się wtedy martwił. Odkąd jednak Bóg miłościwy zesłał mi pomoc w wujaszku, z przyjemnością zamieniłem rolę aktora na widza i te raz tylko się bawię. W każdym razie wuj zrobił doskonale, że przeszkodził temu barbarzyństwu, bo doprawdy sam nie wiem, co bym uczynił, gdybym dziś przyjechawszy zastał był zrębane te stare moje przyjaciółki.

— Tatuś! Tatuś! — dały się słyszeć dwa głosy srebrzyste za jego plecami.

Obróciwszy się, ujrzał przy szybach okna Jańcię i Stasię w białych koszulinach, z rumianemi buziami, uśmiechnięte, rozpromienione. Dowiedziawszy się od piastunki, że tatuś przyjechał, powyskakiwały z łóżeczek i stanąwszy teraz na swoich foteliczkach, szukały go ciekawemi oczkami.

— Idę dziatki, idę! — zawołał i raz jeszcze Antosi rękę uścisnąwszy, wszedł do domu.

Żona pokazała się tego dnia o zwykłej godzinie, to jest w południe i przyjęła go po swojemu, grzecznie, z uśmiechem, lecz zimno; gdy jednak dłuższy czas nie był, więc aby mu czemś szczególniejszą radość okazać, pierwsza pospieszyła na jego spotkanie i piękną swoją twarzyczkę nadstawiła mu bokiem do pocałunku.

Teściowa była bardzo smutna, melancholiczna, rozżalona i przy objedzie długo, a szeroko mówiła jak nieszczęśliwą jest każda wdowa, zwłaszcza jeżeli na swoje nieszczęście, urodzi się z tkliwem sercem i uczuciami delikatnemi, ponieważ nad taką każdy łatwo się znęca, a ona biedaczka, nie może się obronić.

Wujaszek nic jakoś nie mówił, tylko wąsami ruszał.

XII.

— Nie byłbym dał wiary Henryku, że u was jest tyle zwierzyny — przemówił wujaszek do siostrzeńca, gdy po objedzie wyszli do ogrodu. — Co krok kuropatwy, co dwa zając.

— Jest tego dosyć, jest — odrzekł pan Miliński.

— Małoś powiedział, dosyć, wy tu macie tego bez liku. Wprawdzie wolę ja ubić dropia, niż kuropatwę, jechał go sęk, jaki to hultaj ostrożny, wolę także odyńca, nawet warchlaka, niż prostego kłapoucha, ale między ślepymi i jednooki króluje. Kiedyś tu wybiegłem z flintą i za jedno Zdrowaś Marjo, ubiłem pięć szaraków. Na drugi dzień poszło trocha gorzej, dostałem ich tylko trzy, ale niedziwota, dzień to był feralny, piątek, z postu aż mi oko blachmanem zaszło.

— To wuj strzelał już zające? — siostrzeniec spytał zaniepokojony.

— Przecie powiedziałem, żem ich ośm utłukł. Dotąd zjedliśmy dopiero dwa. Jednego posłałem księdzu, reszta w lodowni. Wiesz co, mój słodziutki kochasiu, jak jabym miał u siebie tyle zwierzyny słowo honoru ci daję, nigdybym nie pościł. Jednego piątku zające, drugiego kuropatwy. Jechał sęk wszystkie posty i chłosty! To człowiekowi tak samo do zbawienia pomoże, jak umarłemu kadzidło. Twoja teściowa jeździ do kościoła, modli się, oczami zawraca, pości, a jednak... Lecz co ci jest, Henryku, wyglądasz mi trocha zafrasowany?

— Bo lękam się, byśmy za te zające, które wuj zastrzelił, nie mieli jakich przykrości.

— Przykrości? Od kogo?

— Od landrata. U nas mój wuju, tak długo nie wolno strzelać ani kuropatw, ani zajęcy, póki rejencja nie ogłosi, że polowanie otwarte

— Oszaleli, czy co? Jechał ich sęk z takiemi prawami! Ja, mój słodziutki kochasiu, trzymam się dawnego zwyczaju. Pierwsza kopa w polu, trzask kłapoucha!

— Jak to, czyżby w Galicji nie było ustawy ochraniającej zwierzynę?

— Jest, jest, ale na mojem terytorjum ja zawsze pan! Dałbym ja memu staroście, jakby on mi się odważył za to co powiedzieć, żem szaraka ubił prędzej, niż na to ustawa pozwala. Jeszcze tylko tego brakowało.

— Więc cóżby mu wuj powiedział?

— Co? Wyzwałbym go natychmiast, słowo honoru ci daję i uszy bym mu poobcinał.

Szlachcic tak stanowczym wypowiedział to tonem i minę w tej chwili tak miał uroczystą, że pan Miliński nie mógł wstrzymać się od śmiechu.

— U nas kochany wujaszku, nie udałaby się taka sztuka — odpowiedział.

— Nie udałaby się? A to czemu?

— Bo landrat zamiast sam stanąć, w swojem zastępstwie posłałby żandarmów.

— Tobym go ogłosił infamisem i w pierwszem lepszem miejscu, dałbym mu takie kije, że popamiętałby ruski miesiąc. Jechałby go sęk, jakby nie stanął szlachcicowi! No, no, chciałbym takiego zobaczyć.

Pan Bielski na samą myśl, że na świecie mógłby się znaleźć człowiek równie nikczemny, tak się rozsierdził, że siostrzeniec widząc, iż każda dalsza uwaga w tej materji, mogłaby tylko dodać oliwy do ognia, uznał za stosowne rzecz zakończyć temi słowy:

— Miejmy nadzieję wujaszku, że landrat nie dowie się o tych nieszczęśliwych zającach, nie wszędzie bowiem są donosiciele, więc też i wuj nie będzie potrzebował nikogo wyzywać.

— Niech tylko popróbuje, niech, a zobaczy na czem to się skończy — odpowiedział z gniewu sapiąc.

Tego dnia przed wieczorem, pan Miliński wybrał się do proboszcza.

Gdy przez wieś przechodził, każdego włościanina uprzejmie przywitał, ze starszymi gospodarzami po kilka słów zamienił, dowiadując się o tegoroczne zbiory, ich żony, dzieci i dobytek; ze starym Żołędziakiem, którego spotkał, jak właśnie z probostwa wracał, rozmawiał nawet dosyć długo, wypytując go o szczegóły z ostatniego kółka, (ks. Błażej przewodniczył) w zastępstwie dziedzica w końcu skręcił ku pagórkowi, na którym stał kościół i probostwo.

Włościanie poglądając za odchodzącym, mówili: Dobre panisko! Znali go od dziecka, a kochali nie dla tego tylko, że był potomkiem tych dziedziców, z którymi ich dziady i pradziady byli złączeni wiarą, mową, sympatją, interesem, obyczajem; oni nie równie więcej za to go cenili, że poznali w nim zacnego człowieka i poczciwego sąsiada, który potrzebnego nigdy nie opuścił, lecz pomógł mu w miarę możności. Ileż to się razy zdarzało, że biednym dawał zboże na zasiew, pożyczał pieniędzy, przywoził doktora chorym i za własne pieniądze lekarstwa im kupował; ubogim studentom sprawiał w zimie obuwie i odzież; innym dawał książki; ilekroć kto rady potrzebował udzielił mu się zawsze szczerze a chętnie, jak bratu; kilkunastu gospodarzom trzymał dzieci do chrztu; dbał o kościół i cmentarz, przewodniczył na kółku i pożyteczne dziełka im sprowadzał; krótko mówiąc był pod każdym względem wzorowym dziedzicem. Za te cnoty, cenili go też bardzo i kochali, a że we wsi było to głośną tajemnicą, że stosunki jego majątkowe były coraz gorsze, więc też ten i ów słysząc teraz, jak drudzy dziedzica „dobrym paniskiem“ nazywają, wzdychał i sam dodawał:

— Prawda że dobry... Oj! szkoda go, szkoda!

Ks. Błażej znalazł gorzej, niż go zostawił. Straszliwe upały, które w tym czasie panowały, przy tem trudy połączone z częstemi wycieczkami do Romanowa, gdzie misjonarza musiał we wszystkiem wyręczać, ten bowiem jak żóraw na czatach stojący, słuchał tylko, zkąd niebezpieczeństwo grozi i każdej chwili musiał być gotów do lotu, tak dalece podkopały jego zdrowie, że chociaż pieścić się nie lubi i z dawien dawna wiedział, iż cierpi na chorobę nieuleczalną, mimo to sam dziś zapowiedział, panu Milińskiemu, że będzie musiał bądź do miasta pojechać, bądź do domu lekarza sobie sprowadzi, gdyż czuje, że go coraz bardziej siły opuszczają. Nasz przyjaciel pochwaliwszy to postanowienie, prosił księdza, by jego końmi rozporządzał każdej chwili jak swemi.

Powtórzywszy proboszczowi wszystko, co ciekawego ex publicis słyszał we Wrocławiu i w Berlinie, zszedł potem na swoje kłopoty i prawdy w bawełnę nie obwijając, zwłaszcza że i z tego powodu ukrywać jej nie potrzebował, że ksiądz z dawien dawna znał jego stosunki, opowiedział co mu teraz dolega. W końcu prosił o radę przyjacielską.

Proboszcz wzdychał, głową potrząsał, a gdy gość skończył, szepnął.

— Boże! Boże! czemu nie jestem bogaty!...

Pan Miliński spoglądał na niego z rozrzewnieniem. Ksiądz chwilkę pomyślał.

— A z panem Bielskim rozmawiał już pan dobrodziej?

— Dotąd nie, bo lękam się, by to na wyzysk nie wyglądało. Im uważniej zastanawiam się nad mojem położeniem, tem jaśniej, niestety, widzę, że jest ono w rzeczy samej fatalne. Pieniądze, które teraz wezmę, mogę łatwo zwrócić, jeźli przyszły rok dopisze, ale na przypadek nieurodzaju, musiałbym pożyczającemu zawód zrobić.. Na to nie chciałbym więc narazić tak bliskiego krewnego, tem mniej zaś teraz, gdy jest w moim domu, by mi kiedyś nie zarzucił, żem nadużywając stanowiska gospodarza, u którego był w gościnie, wywarł na niego presję.

— Pan dobrodziej jesteś zanadto skropulatny — proboszcz na to odpowiedział. — Wszak to rodzony brat nieboszczki twojej matki, przy tem człowiek nieżonaty i bezdzietny i o ile wiem, bogaty. Nie raz przecie słyszałem, że jego wieś na nasze pieniądze warta najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy talarów.

— Rzeczywiście, tak jest, ale kto tam wie, księże proboszczu, jakie dziś u niego interesa. My szlachta, wszędzie stoimy nad przepaścią.., chłop się trzyma, nawet co raz więcej sił nabiera, ale my obywatele herbowi, ustępujemy tak dobrze tu, jak w Galicji i w Królestwie. Snać wyśpiewaliśmy już naszą rolę i na świecie nic więcej nie mamy do powiedzenia. Smutno przyznać się do tego, bardzo smutno, gdyż bądź co dądź, szlachta jest jeszcze materjałem poczciwym i wielce patrjotycznym, z którego dałoby się jeszcze coś zrobić. Ale snać Bóg całkiem się już od nas odwrócił, skoro nas skazał na zagładę.

— Tylko nie wątpić o jego miłosierdziu! — proboszcz żywo zaprotestował. — Źle wam panowie, prawda, ale nie rozpaczajcie, bo to niereligijnie i niepatrjotycznie. I ja zgadzam się w tem z panem, że w organizmie naszego społeczeństwa, szlachta jest dotąd czynnikiem pożytecznym, więc skoro sama wie o tem, powinna śmierci się opie-

rać. W życiu poszczególnionych warstw społecznych, tak samo jak w życiu całych narodów, samobójstwo jest grzechem najcięższym, śmiertelnym! Wglądnijcie przeto w siebie, poprawcie się i żyjcie dla dobra ojczyzny! Co do pańskiej sprawy, to ja ją wezmę na moje sumienie i sam z panem Bielskim pomówię. Zbyt ona jest czysta, byśmy czegokolwiek obawiać potrzebowali. Jeźli pan dobrodziej pozwoli, jeszcze dziś będę we dworze.

— Niech się dzieje wasza wola, księże proboszczu, skoro koniecznie chcecie to uczynić. Lecz aby wuj nie wziął mi tego za złe, żem ufał więcej księdzu, niż jemu, przeto proszę wszcząć rozmowę o tym przedmiocie w mojej obecności, poczem ja ją już sam dokończę. Mnie najtrudniej byłoby zacząć.

— Straszna uwaga — odrzekł kapłan i aby czasu więcej nie tracić, wyszedł zaraz ze swoim gościem.

Wieczorem nim wszyscy trzej zasiedli do ulubionego gerylasza, proboszcz tak zręcznie pokierował, że skorzystawszy z pierwszej sposobności, co się nadarzyła, powiedział panu Bielskiemu w krótkich słowach, jaką zgryzotę ma jego siostrzeniec. Szlachcic westchnął głęboko, okiem, w którem malowało się najżywsze współczucie spojrzał na Henryka, potem wąsy odgarnął, objął go za szyję, w oba policzki serdecznie ucałował i tak przemówił:

— Mój słodziutki kochasiu, kubek w kubek u ciebie jak u mnie! Dotąd nie opowiadałem ci o moich kłopotach, bo w gościnę do ciebie przyjechawszy, miałem cię nudzić mojemi interesami, ale skorośmy się już o tem zgadali, więc usłyszysz, w jakim ja siedzę sosie, a to cię niewątpliwie pocieszy. Już ta zawsze człowiekowi przyjemniej, gdy wie, że nie tylko on sam gryzie się i bieduje. Ale ja się nie dam, nie, bo sprawiedliwość po mojej stronie! Posłuchajcie tylko panowie, jest czego... Historja nie tyle zajmująca, co pouczająca. Gdyby tak człowiek nie miał głowy na karku, jużby go dawno byli zjedli z kośćmi i butami. Jechał ich sęk, tych psubratów! Ale ja się nie dam, nie, choćbym miał wodę pić. Zaraz wam powiem, zaraz, tylko muszę jeszcze świeże cygaro zapalić.

Gdy to uczynił tak dalej mówił:

— Pamiętasz Henrysiu, jakem ostatni raz był tu u was? Chociaż krótko wtedy bawiłem, bom nie miał nawet czasu kiedy zapamiętać, że te drapichrusty Leszno na Lissę przezwali, jechał że ich sęk z taką sprawiedliwością, mimo to musiałeś wówczas zauważyć, że byłem w dobrym humorze. Bo też i widoki wtedy, mój słodziutki kochasiu, były znakomite. Właśnie puściłem się był na giełdę, na której miałem milion zrobić.

— Wuj grał na giełdę? — siostrzeniec zapytał.

— A dla czego bym nie miał grać? Czy to ja gorszy niż inni? Skoro nie jeden zrobił na niej fortunę, więc mogłem i ja. Że się nie udało, rzecz inna, ale w każdym razie nie jam winien, tylko ten łotr Izydor, który bodaj za moją krzywdę smarzył się po śmierci w smole po same uszy. Posłuchajcie tylko, co za ptaszek. Babice jak wiesz, miałem wtedy czyste, Izydor, który jest dyrektorem banku, na moje nieszczęście znałem tego łotra oddawna, namówił mnie, bym się puścił na giełdę i na ten cel wziął pieniędzy z banku. Widoki były świetne, dziś kupujesz za pięć tysięcy, jutro sprzedajesz za pięćdziesiąt, czysty zysk zatem wynosi czterdzieści pięć tysięcy i tak dalej, dalej, póki nie dojdzie do miljona. Podobała mi się ta propozycja, wziąłem na hipotekę sto tysięcy i zacząłem papiery kupować. Z początku szło jakoś nieźle, raz drugi coś się zarobiło, aż tu pewnego dnia otrzymuję niespodziewanie telegram od Izydora, on bowiem na mój rachunek kupował i sprzedawał papiery, bym przysłał jak najprędzej jeszcze dwadzieścia pięć tysięcy, bo we Wiedniu jest krach i moje papiery nie mają pokrycia. Masz babo redutę, pomyślałem.

— Jak to, więc całe sto tysięcy pan dobrodziej stracił? — proboszcz przerwał.

— Przez jednę noc, jakby pies ogonem machnął. I niech jegomość nie myśli, że na tem się skończyło, nie! Ten psubrat jeszcze na większe straty mnie naraził. Otrzymawszy ową depeszę, posłałem mu natychmiast dwadzieścia pięć tysięcy, które wziąłem od żydów w mojem miasteczku powiatowem, potem zażądał nowych dwudziestu pięciu tysięcy i wszystko poszło na złamanie karku. Jechał że go sęk z takim doskonałym interesem.

— Cóż jednak w tem zawinił, jeżeli akcje spadły? — pan Miliński zapytał.

— Zawinił, bo porządnego szlachcica nie powinien był do takich interesów namawiać. Giełda to rzecz żydowska, nie nasza, a prócz tego, jak się później dowiedziałem, ten łotr tak manipulował, że wszystkie pieniądze, które mu porządni ludzie powierzali, składał w banku na swój rachunek, jeźli wygrywał, chował zysk do kieszeni, jak przegrywał, kazał im płacić.

— W takim razie należało wnieść skargę do sądu — proboszcz wtrącił.

— Ba, ba, żeby to w naszych tak łatwo szło, jak się komu zdaje! U nas w Galicji, tylko ten pewnie proces wygrywa, kto się nigdy nie procesuje. Zresztą czy ksiądz dobrodziej myśli, że byłby mu kto tę manipulację udowodnił? Już on tak zakręcił, że nie sąd, ale nawet sam djabeł, nie byłby prawdy doszedł. Zrujnował mnie więc, zrujnował ten psubrat i o mało żem przez niego z majątku nie wyszedł... Gdym nie mógł żydom oddać pieniędzy, zaczęli mnie skarżyć, grabić, licytować, Bóg jeden wie, jakie ze mną cudactwa wyrabiali. Ale szlachcic u nas to tak: Znosi, cierpi, milczy, lecz jak raz weźmie na kieł, nie da się samemu lucyperowi. Tak samo i ja zrobiłem mój słodziutki kochasiu Mordowali mnie, omało ze mnie grzesznej duszy nie wypuścili, wszelako jakem sobie na końcu powiedział, że się nie dam, takem się też nie dał. Dwa razy zlicytowali mi Babice, a ja obadwa razy zwaliłem licytację, sześć lat trwała ta historja, a teraz, jeźli św. Florjan mi dopomoże, łotry znajdą się na tym samym punkcie, na jakim byli przed sześciu laty i nic mi nie zrobią.

— Więc w Galicji można tak łatwo licytacje zwalać? — pan Miliński zapytał.

— U nas wszystko można, byle głowa była na karku nie od parady! — pan Bielski odparł i oczy zaświeciły mu się jak filutowi. — Dokoła nas kręcą, począwszy od ministrów, skończywszy

na żydach, których w Galicji więcej niż piasku w morzu, więc nie dziw że i szlachta musi kręcić, w kaszy by ją zjedli. Raz na tej podstawie zwaliłem licytację, że edyktu, w którym została ogłoszona, nie otrzymałem w czasie ustawą przepisanym, a o co, ma się rozumieć, ja sam się postarałem; drugi raz najwyższy trybunał dla tego ją unieważnił, że edykt nie był wystawiony za kratkami w sądzie powiatowym, że i w tym wypadku ja główną rolę odegrałem, to rzecz jasna jak słońce; ze wszystkiego jednak teraźniejszy koncept będzie najlepszy. Posłuchajcie tylko panowie. Kilka miesięcy temu, właśnie gdym otrzymał doniesienie, że wkrótce będzie rozpisany nowy termin licytacyjny, wracałem z gumna do domu. Byłem bardzo zafrasowany. W tem wzrok mój pada na obraz św. Florjana, którego duży wizerunek znajduje się nad moim domem w Babicach. Stary to obraz, jeszcze mój pradziad kazał go tam umieścić. Ratuj św. Florjanie! westchnąłem, patrząc na niego Ledwiem to uczynił, rozjaśniło mi się w głowie, jak ongi Szawłowi, nim się nawrócił. Jechał że cię sęk pomyślałem, wszak to paradny interes! Św. Florjan jest u mnie malowany na grubej blasze miedzianej, której przy szacowaniu majątku detaksatorowie nie wzięli w rachubę, a ponieważ sprzeciwia się to ustawie, więc mogę żądać unieważnienia całej taksy. Jakem pomyślał, takem uczynił. Chwili nie tracąc pojechałem do adwokata, wniosłem podanie o rewizję detaksacji, żeby się zaś długo oczekiwaniem nie denerwować, postanowiłem skoczyć tu, do ciebie mój słodziutki kochasiu i teraz wyglądam co mi św. Florjan powie. Jeżeli tylko wygram, sprzedam zaraz Babice, na których mam aż dwóch kupców i z pieniądzmi co mi zostaną, a będzie ich w najgorszym nawet razie najmniej sto tysięcy guldenów, wrócę do ciebie mój słodziutki kochasiu i do grosza wszystko ci oddam. Nie myśl Henryku że żartuję, nie, popatrz tylko.. (tu wyjął dokument opatrzony podpisem i pieczęcią notarjusza,) już od pięciu lat noszę z sobą mój testament, w którym mianowałem cię moim uniwersalnym spadkobiercą. Wszak tyś mi najbliższy. Teraz od tego wszystko zawisło, jak się spisze św. Florjan! Chodź tu mój chłopcze, niech cię uściskam

To powiedziawszy ze łzami w oczach siostrzeńca ucałował.

Ten chociaż śmiał się w duchu ze spadku po wuju, mimo to podziękował mu serdecznie za pamięć i życzliwość, poczem chciał zacząć mówić o innym przedmiocie. Przeszkodził temu jednak proboszcz, gdyż rzekł:

— Zanim jednak słońce zejdzie, rosa oczy wyje. Nim św. Florjan, jako patron wszystkich, którym dach gore nad głową, pomoże panu dobrodziejowi majątek ocalić, tymczasem mój szanowny kolator może swój stracić.

— Nie lękaj się księże proboszczu i ty się także nie bój, mój słodziutki kochasiu. Djabeł nie taki znowu czarny, jak go malują. Jeżeliby ci kiedykolwiek miało być aż tak źle, iżbyś sobie nie mógł więcej sam dawać rady, to napisz tedy do mnie, ja zaraz przyjadę i zobaczysz, że coś takiego ci poradzę, czegobyś sam ani przypuścił. *Nauczył bida worożyty*, mówi nasze rusińskie przysłowie, szlachcic bity z wszystkich stron musi się także kręctactwa nauczyć. Tak, tak, mój słodziutki kochasiu, nie damy się i kwita.

Ksiądz słysząc to, zamiast dłużej mówić o tej sprawie, pierwszy zaproponował gerylasza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RADA.

Dziecię smutne, dziecię dumne,
Ja twe myśli skryte znam...
Ty wawrzynów chcesz na trumnę,
Chcesz otwartych sławy bram.

Z gwiazd korona ciebie nęci,
Nęci czynów wielka treść;
Pragniesz w tłumów żyć pamięci,
Mieć ich poklask, mieć ich cześć.

Lecz gorączką odurzony
Miotasz się, jak w burzy ptak —
Bo na świecie dróg miljony,
A ty nie wiesz, gdzie twój szlak.

Chcesz zwyciężyć, dziecię smutne,
Nim cię śmierci zetnie sierp? —
Rzuć miotania bałamutne:
Dużo kochaj! dużo cierp!

Wiktor Gomulicki.

HENRYK SZCZERBA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

WALERJĘ SOLECKĄ

odznaczona zaszczytną wzmianką na konkursie „Kurjera Warszawskiego."

(Ciąg dalszy.)

— A więc tak źle z tobą panie zięciu? zapytał po chwili rzucając cygaro.

— Jest to chwilowe! — odpowiedział Henryk siląc się na spokój, aby nie zdradzić wzruszenia spowodowanego odmową barona.

— Jest to chwilowe! — powtórzył — jedna szczęśliwa operacja wszystko ureguluje.

— Grasz więc ciągle na giełdzie! — rzekł baron — to niebezpiecznie! Jeżeliś jednak tak zabrnął, że nie masz innego wyjścia... il faut se risquer! Nie sądziłem jednak że tak źle z tobą.

— Ileż wynosi ogólna suma twoich długów? — zapytał niby obojętnie.

— Potrzeba mi sześćdziesiąt tysięcy, ale dziś, najdalej w przeciągu... dwóch dni; to wybrnę z kłopotów — rzekł Henryk, siląc się na szczerość, bo nie tracił jeszcze nadziei w pomoc teścia, który mógł przecież sprzedać jaki folwark — bo w przeciwnym razie...

— W przeciwnym razie, grozi wam ruina — przerwał baron niecierpliwie. — To źle! to źle, mój panie zięciu powinieneś porządniej prowadzić interesa... i nie rzucać się w hazardowne spekulacje, jeżeli się nie ma po temu zdolności. Zresztą nie ma o tem co mówić... „jak sobie kto pościeli" powiada przysłowie! Ja pomóc ci nie jestem w stanie, chyba żebym skrzywdził moje dzieci, no, a sam poszedł... za stangreta. Co? sądzę, że nie żądasz tego ode mnie? mówił ze śmiechem. Źle! źle! tem gorzej, że w osta-

tnich czasach zaszargałeś się niepotrzebnie w tej sprawie o podatki... Przemawiać przeciwko projektowi ministra, to więcej już jak niezręczność... to dowód niechybny, że tracisz energją i jasność poglądu panie doktorze Szczerbo! Oburzyło to na ciebie całe stronnictwo nasze! Broniłem cię jednak, zaręczałem, że to z twej strony tylko „un ruse“ zręczny, którego użyjesz do przeprowadzenia ukrytych planów. — Nie rozumiem — mówił zapalając się, jak mogłeś w podobnej będąc sytuacji majątkowej, narażać się jeszcze stronnictwu, które z ciebie zrobiło un homme!... Odbiorą ci mandat! to niewątpliwe! Nie, nie podobna pojąć, ażeby człowiek roztropny i przy zdrowych zmysłach popełnić mógł taką niedorzeczność? Czy może najmujesz się teraz na służbę u warchołów panie Szczerbo?

— Panie! — wykrzyknął Henryk z wybuchem gniewu.

— Chciałem jeszcze załagodzić tę sprawę — mówił baron, nie zważając na wykrzyknik Szczerby — chciałem to udusić i powstrzymać wycieczki prasy, składając pieniądze, których potrzebują — ale kiedy pieniędzy nie masz, niech się dzieje wola nieba! Ja nie mam ich także! Pozwól sobie jeszcze powiedzieć, że jedynie ze względu na Emę nie stanę w szeregu twoich wierzycieli! Biedna Ema, jak ją to dotknie!

— Pozwól sobie pan także powiedzieć — przerwał Henryk, że zbytki Emy, którym nie sposób było położyć tamy, jej kosztowne zachcianki, fantazje, kaprysy... bez względu na uwagi... na przedstawienia i prośby moje!... jej...

— Bale, rauty, stroje... — pochwycił baron, które potrzebne były dla podtrzymywania stanowiska twego w świecie, w towarzystwie! Miałeś przecie pretensje pretendowania przy najbliższej sposobności o krzesło marszałka!... Ema wyrabiała ci stosunki, oto rzecz cała! Jeżeli ożeniłeś się z kobietą urodzoną i tak wychowaną jak nasza córka, czyż chciałeś, ażeby chodziła w przydeptanych trzewikach około gospodarstwa i kuchni? Nie, ty sam inne masz o tem wyobrażenie! Une femme comme elle... to fortuna dla innego człowieka, ale w twoich rękach wszystko się psuje panie Szczerbo! — Adieu mon gendre! — rzekł odchodząc — nie trać zresztą odwagi! Od czegoż masz głowę? Poturbuj ją nieco, niech urodzi trochę dukatów! Sytuacja da się jeszcze uratować, byle pieniądze! Jak to powiedział ów filozof czy król: „Nie ma takiego osła, a! nie to nie tak: — „nie ma takiego muru, któregoby osioł złotem naładowany“ ha! ha! stara maksyma ale niezawodna! A zatem do zobaczenia się jeszcze! Uprzedzam cię jednak, że w razie, jeżeli ci się nie uda wywikłać.. Emę zabieram. Miałeś o ile wiem, kapitały, kapitaliki, sumy i sumki powierzone przez różne osoby; operowałeś nimi i bez wątpienia stopiły się wraz z sumą posagową Emy i... ba! to już rzecz ważna, to brzydka sprawa i grożąca honorowi! A zatem staraj się wydobyć z tej matni! Adieu!

Ostatnie słowa barona miały moc iście przygnębiającą. Henryk godzinę przeszło siedział nieruchomy z głową opartą na rękach, z twarzą zmęczoną i wykrzywioną kurczowo. Była to prawda: drobne kapitały i sumki różnych osób, stanowiące po największej części całe mienie i pracę całego życia, powierzone mu tytułem pożyczki lub depozytu z nadzieją, że pieniądze te w rękach zręcznego, wpływowego adwokata podwoją się i potroją, utonęły także w ogólnym roztopie. — Szczerba przyznał się teściowi zaledwie może do połowy długu.. żądając tyle tylko ile na razie niezbędnie potrzebował dla ratowania zagrożonej egzystencji.

Dreszcz go przenikał na myśl nieuniknionych następstw, bo głowa jego nie mogła w tej chwili urodzić żadnej myśli płodnej w dukaty!... Widział już dom ten oblężony przez wierzycieli, splamiony pieczęcią sądową, napełniony krzykiem woźnych i urzędników licytujących sprzęty, obrazy, bronzy... Co za skandal! jaka hańba! ruina!

Godność jego poselska znieważona jak najsromotniej — zewsząd przekleństwa ludzkie... tych mieszczan, drobnych urzędników i kobiet, których pieniądze stopiły się w jego ręku. Skoro tylko jeden wierzyciel zostanie niewypłacony i zacznie krzyczeć, wszyscy się zlecą, ze wszystkich stron kraju aż tutaj.. dopominać się będą z zuchwałym wrzaskiem pokrzywdzonych, o swoje pieniądze. Słyszał naigrawania się, szyderczy śmiech ludzi, którzy niedawno zasiadali przy jego stole... krzyki dostawców niezapłaconych i płacze i jęki... czuł już ręce spracowane, grube, kościste, szarpiące go za suknie za włosy!

A jednakże nie działał on w złej woli... przeciwnie, najsumienniej byłby się dzielił zyskiem gdyby fortuna mu była sprzyjała. Czyż jego to wina, że nastąpiło ogólne obniżenie pieniędzy... papierów, ogólna ruina, druzgocąca pod swem żelaznem, zębatem, ostrem kołem nawet tych wszechwładnych bożków złota: bankierów? W podobnem jak on położeniu znajdowało się w tej chwili tysiąc może ludzi, którzy dotychczas uchodzili za najzręczniejszych, za najpotężniejszych finansowo w stolicy. Jedni pociągnęli za sobą drugich i tak dalej, w nierozerwalnym szeregu jak waląca się budowla wzniesiona na kruchych fundamentach. Była to chwila ogólnego przesilenia roztopu, w którym ginęły fortuny wielkich i grosze maluczkich!

Przypomniał sobie samobójstwo.. śmierć tego poczciwego Fredzia, która przed kilku dniami wzruszyła cały Wiedeń! I przez krótką chwilę Szczerba miał szaloną ochotę, kulą w mózgu zakończyć tę nieudaną komedję życia.

Lecz myśl, że miałby się pozbawić życia dla tak marnej sumy, dla głupich kilkudziesięciu tysięcy reńskich, orzeźwiła go. Tamten stopił miljony! to przynajmniej miało pewną wielkość, pod którą warto było upaść zgniecionym — ale dla głupiej kupki banknotów? Nie, nie! czuł w sobie zanadto życia, sił, młodości i werwy, ażeby miał kończyć dla tak marnego powodu! Przecież dopokąd się żyje, zawsze jeszcze można wygrać.. niespodzianie znaleść się może jakiś sposób ratunku!

Przechadzał się wzdłuż gabinetu szybkim krokiem, myśl jakaś nurtowała go niespokojna — otworzył biórko i nachylił się nad niem. Wewnątrz szuflady leżała wytarta skórzanna torebka Liszki i pakiet papierów związany sznurkiem. Nie miał jeszcze czasu zająć się sprawą zmarłego przyjaciela, ogłuszony nawałem własnych interesów i zagrożonej sytuacji. Przyszła mu teraz myśl, że zakładając tę szkołę będzie mógł się ratować w oczach opinii publicznej, nawet wówczas, gdyby cały piedestal, na który się wyniósł z takim trudem — runął całkowicie! Sprawa tej szkoły w jego rękach, nada mu rozgłos, otoczy go blaskiem świeżym, popchnie znowu na wyżynę; a wtedy będzie już ostrożniejszym!...

Jeżeli jednak wszystkie owe sumy, o których opowiadał Liczko, egzystowały tylko w bujnej jego fantazji, były li tylko majną zmarłego zapaleńca?!! Mógł to, mó-

wić w gorączce już nawet w tę noc balową, podczas której zachorował śmiertelnie! Szczerba drżącą ręką otworzył zamek stalowy torebki kluczykiem... potem rozerwał ją prawie, bo wciśnięte w jej wnętrze papiery siedziały tam mocno, twardo, jak przylepione! W oczach mu się ćmiło: na zielone sukno stołu wypadły pliki banknotów austryackich, funtów angielskich, papierów wartościowych różnych krajów i towarzystw akcyjnych... przerachował pieniądze raz i drugi.. były wszystkie! Z pomiędzy papierów wysunęły się: cztery dolary w złocie związane, ponsową wstążeczką Mary, pachnącą delikatną wonią heljotropu.

Szczerba odetchnął wpatrzony w te pieniądze. Pierwotny jego zamiar uległ teraz zmianie.

— Rzecz prosta — myślał — pożyczę sumę potrzebną mi, uratuję się z fatalnej sytuacji, która, bądź co bądź podkopałaby moje znaczenie na zawsze! Zanim otrzymam koncesją tej szkoły i przystąpię do działania, położę te pieniądze napowrót! A! co za tryumf wobec tych, co już mi urągali!

Ogarnął go jednak niepokój.

— Liczko byłby mnie ratował niezawodnie, pomyślał! — Właśnie wobec tej sprawy powierzonej mi przez niego nie mogę się narażać opinii i wystawiać na pastwę skandalu mego imienia! Będąc sam silnym, tem skuteczniej postawię i doprowadzę jego sprawę! To rzecz jasna. Nie mogę się wahać! Środek każdy dobry, byle zamiar był czysty!... byle wyjść zwycięzko!

Rozdzielił pieniądze na trzy części — jedną z nich schował napowrót do torebki wraz z owymi czterma dolarami w złocie; dwie inne włożył do swego portefeuill'u. Robił to jednak drżącemi rękami ze ściśniętem sercem, a gdy zamykał szufladę, uczuł zimne krople potu, spływające po twarzy.

— Musi mi się udać! — powtarzał w myśli dla nabrania odwagi — obliczyłem wszystko jak najdokładniej. — Uda się niezawodnie. — W sąsiednim pokoju było ciemno i stąpając po kobiercu nadeptał przypadkiem zabawkę Olka, porzuconą tutaj a trzask zgniecionego drewnianego konika wstrząsnął nim tak, że w tył się cofnął, jakby się pod jego nogami zapadała podłoga.

Wstąpił jeszcze do pokoju żony, którą chciał uspokoić; ale Emy nie było — zawieszona u sufitu nocna lampa paliła się przyćmionym płomieniem, a na podłodze i krzesłach leżały porzucone niedbale suknie i różne części odzienia świadczące o pospiechu z jakim się ubierała. Henryk zbiegł szybko ze schodów i zatrzymawszy fiakra przejeżdżającego ulicą, kazał jechać do miasta.

XI.

Ema tego wieczoru była w operze. Zawiadomiona przez ojca o grożącem niebezpieczeństwie, przyjęła tę wiadomość dosyć obojętnie... wzruszyła ramionami, oświadczając, że można się tego było spodziewać od dawna. — Uległa znowu potrzebie uciekania z tego domu, w którym delikatne jej nozdrza odnajdywały bezustannie zapach trupa i który sam zdawał się rozpadać i pękać pod obiciami z jedwabiów.

W loży zwracała dziś ogólną uwagę urodą i strojem, wszystkie lornety kierowały się w tę stronę, gdzie królowała piękna Polka, profil jej delikatny, przepyszne włosy, błyszczące oczy, wytworność arystokratyczna ubioru i ruchów, wzbudzały zazdrość kobiet. Podziwiano przepyszne jej ramiona odsłonięte, których kształt czystej piękności, białość i połysk marmuru odnosiły palmę pierwszeństwa z pomiędzy tych wszystkich, ujętych w złocone ramy loży, biustów kobiecych, grupujących się, jednę obok drugich jak na wystawie piękności i wdzięków. Na szyi pięknej kobiety nie było ani jednego sznurka pereł; nic oprócz bukiecika fjołków, u stanika sukni.

Ogromny bukiet z różowych kamelji i fjołków przysłany przez Oskara leżał na brzegu loży obok wachlarza, lornetki i pudełka cukierków — mała brylantowa egretka wpięta we włosy w półcieniu loży lśniła jak gwiazda nad czołem ładnej kobiety, które chwilami pochylało się w zamyśleniu, jakby unikając ciekawych, skierowanych na nie spojrzeń; a wtedy twarz jej oblewała się nagle łuną rumieńca. Oskar od kwadransa siedział w głębi loży, tuż po za krzesłem jej; nie mówili nic do siebie, oddech jego gorący dotykał pleców kobiety, owiewał jej ramiona i szyję, obejmował ją płomieniem a gdy przypadkiem, nachylając się dotknęła ramieniem jego epoletów, krótki rozkoszny dreszcz wstrząsał jej ciałem przebiegając od głowy do stóp.

Na scenie różnobarwne, przeźroczyste spodniczki tancerek unosiły się razem jak obłok lekki, błyszczący mirjadem iskier w świetle kinkietów... to znowu rozlatywały się na wszystkie strony, jak stado spadających z nieba olbrzymich motyli, przyczem tors i nogi wcisnięte w bladoróżowe trykoty wydawały się być wydłużonem ciałem owadu jedwabistem, pulsującym krwią a ręce podniesione do góry początkiem skrzydeł zakończonych u dołu przeźroczystą, gazową błoną, poprzecinaną delikatnymi, ciemnymi i złotymi prążkami! Fałszywe brylanty i oczy baletnic rozszerzone atropiną, podkreślone tuszem ciskały fosforyczne blaski na salę, niby błyskawice krzyżujące się w złoconym gmachu wstrząsające nerwy mężczyzn, budzące niepokój w sercach kobiet.

Pierwsza tancerka unosiła się ponad tą gromadką o skrzydłach różowych, białych, popielatych i złotych, najwyżej; z lekkością ptaka, nie dotykając prawie ziemi z rozwianym włosem, który błyszczał dokoła głowy jak płomienna aureola, fruwała w górę, oczy jej i usta posyłały ludziom uśmiechy i pocałunki, ciało gięło się w namiętnych nęcących pozach... jak widmo zwodnicy Lorelei, aż znowu znikała zakryta skrzydłami towarzyszek niby zabarwioną mgłą, z której wychylały się uśmiechnięte twarze, błyszczące oczy i usta karminowe.

Ema z swej loży patrzyła, nie widząc... w głowie jej szumiało — obecność Oskara i oczy jego, wpatrzone w nią bezustannie z niemem uwielbieniem i namiętnością niepokoiły ją; drżała lekko ile razy przemówił, a głos jego obejmował ją rozkoszną pieszczotą. Od kilka miesięcy młody książę towarzyszył jej, gdziekolwiek się pokazała: na balach, w teatrze, na przejażdżkach i u niej w domu, ile razy przyjąć go raczyła — i zawsze z tem spojrzeniem pokornem i przenikającem zarazem, zawsze z słowem miłości na ustach! Pochlebiało to jej z początku, więc go ośmielała: uśmiechem, spojrzeniem; później, gdy ją znudził odpędzała kapryśnie. Powracał zawsze uparcie, niczem niezrażony odpowiadając na szyderstwa kobiety, że ją kocha, kocha wiecznie... że wierzy iż ona także musi go pokochać.

Nareszcie to ją zwyciężało; tyle miłości i wierność taka niezwykła, rycerska!... myślała o tem w chwili, przechylona lekko, przez poręcz swej loży i wzniecało to szał jakiś w jej głowie, nerwach, krwi.

— Kocha mnie... i ja go kocham! — szepnęła, ale słowa jej tym razem nie zgłuszone orkiestrą, doleciały do ucha Oskara!

— Kochasz mnie! kochasz! — wykrzyknął prawie — a ja cię ubóstwiam!

— Miłość młodego księcia ubogą była w słowa, odkilku miesięcy powtarzał jej to samo i w tych samych wyrazach niezmnienie — ale Ema nie nawidziła frazeologji pięknych słówek i poetycznych, misternie zaokrąglonych tyrad, które słyszała zawsze z ust kochanego niegdyś człowieka; ta milcząca miłość miała dla niej tajemniczy urok, właśnie dlatego sądziła Ema, że gdy uczucie nie rozprasza się w słowa, tem być musi głębsze i szczersze! Podniosła się z krzesła milcząca; Oskar zarzucił na nią miękkie futerko, przyczem usta jego dotknęły białego ramienia kobiety Ema nie gniewała się tym razem, spojrzenia ich zetknęły się i oparta na jego ramieniu wyszła z loży.

— Jedziesz do mnie! — rzekł siadając obok niej w powozie.

— Nie! nie — ale adres już był rzucony i woźnica skierował konie. Unosiły ich z szybkością nadzwyczajną sypiąc iskry po bruku — ramię Oskara opasywało Emę, usta jego szeptały słowa urywane.. nie wiedziała prawie jak się to stało, że znalazła się w mieszkaniu księcia.

Był to niewielki pokój urządzony po turecku, wyścielony makatami i perskim kobiercem, które miały połysk i kolory drogich kamieni zmięszanych i poruszanych bezustannie na słońcu. Na półkach stały wschodnie naczynia ze szkła i bronzu, tu i owdzie na ścianie lśniła broń stalowa ostra, której klingi kością słoniową perłami i turkusem pyszniły się obok małych amuletów zczerniałych i wytartych od tylu setek piersi, które ochraniały przez przeciąg lat wielu. Ema przechadzała się dokoła pokoju, oglądając wszystko ciekawie, powstrzymując spojrzeniem Oskara, który wyciągał do niej ramiona.

Obok kilku starych mieczy, zjedzonych na poły rdzą wisiało parę naszyjników, branzolet i siatka z brylantów, cała duża siatka do okrycia bujnej fryzury kobiecej, zdarta może w czasach wojny z czarnowłosej głowy jakiej sułtanki, bił z tego punktu ściany blask, iskry i ognie sypały się na cały pokój.

— To piękne! masz dobry gust — rzekła Ema.

Oskar z nieśmiałością ofiarował jej tę przepyszną siatkę, jakby splecioną z łez i ognia. Wzruszyła ramionami i odsunęła ją niedbale końcem trzewika. — Nie lubię kamieni — rzekła — przytem to pachnie jeszcze włosami tych wszystkich odalisek, które ją odziedziczyły jedna po drugiej, razem z łaską pana władcy! Fe! jak mogłeś mieć myśl podobną, aby mi dawać rzecz taką?

Usiadła na otomanie—Oskar klęcząc zdejmował z niej futerko; okrywał pocałunkami jej ręce i suknie.

— Kochasz mnie więc doprawdy? — zapytała.

— Ubóstwiam!

Oddech Emy stawał się krótszy, gorętszy.

— Widzisz więc, że i ja kocham cię także.. kiedy tu przyszłam! Czy jesteś mi wdzięczny?

Za całą odpowiedź ucałował jej ręce obie i zsunął z nich długie popielate miękie rękawiczki duńskie. Oskar ośmielał się, patrzył zuchwalej w oczy kobiety, ustami dotykał jej włosów.

Prosił by się napiła wina i nalewał je — Ah! nie! nie w te kieliszki — zawołała masz tutaj złotą czarkę śliczną, otoczoną liśćmi winogradu z główką bachantki u wierzchu. Nalej tu wina, będziemy pić z jednego kieliszka! — rzekła z uśmiechem podając prześliczną czarkę.

Przyłożyła różowe usta do złotego brzeżka i wypiła połowę, podając mu kubek. Oskar wychylił wino na cześć swej pani.

— Patrzcie masz owoce! — jabłka granatu.. a jakie świeże.. ząbki jej białe wpiły się w miękki, soczysty owoc a wargi zabarwiły się purpurowemi kroplami. Oskar odebrał jej połowę owocu ze śmiechem, oświadczając, że i ta połowa jemu się należy.

Wszystko to miało dla Emy urok niezwykły.., urok pierwszego grzechu. Było to nowością dla niej, dotychczas mimo osamotnienia i żalu do męża, nie odważyła się na coś podobnego, przez bojaźń, przez wstręt do upadku i poczucie własnej godności, silnie u niej rozwinięte. Dziś pierwszy raz uległa pokusie, drżąc z początku z bojaźni lekceważąc następnie niebezpieczeństwo, wmawiając w siebie wiarę, że miłość daje jej do tego prawo.

A! nie pamiętała w tej chwili wcale, że miała jakiekolwiek obowiązki, że istniał gdzie na świecie jaki Szczerba. Upajała się tym nowym epizodem swego życia w ramionach pięknego Oskara, wierząc że go kocha, że nie kochała nigdy nikogo oprócz tego milczącego, rycerskiego, pięknego żołnierza!

Te perskie kobierce i makaty o blasku drogich kamieni, sypiących się od sufitu, to wino pite z ust złotej bachantki razem z Oskarem... wonne jabłka granatu, broń rozwieszona na ścianach dokoła, nad jej jasną głową, nawet milczące pocałunki Oskara, wszystko to miało urok niezmierny, jakby kartka z poematu Musset'a, albo zwrotka starej pieśni trubadura, której refren powtarzał się ciągle w melodyjnym dźwięku wychodzącym z prześlicznych ust kochanka: „Ubóstwiam cię! kocham!

Nachylał złotą, rzeźbioną czarkę do jej ust wilgotnych, pełnych ząbków perłowych i piła wino i pocałunki Oskara. Rozkosz dziwna owładnęła jej zmysły, z głową w tył przechyloną, opartą o pierś jego, z oczyma zamglonemi wpadała w senność, przed wzrokiem jej migała twarz księcia; rozwinięte, jak skrzydła spodniczki baletnic i karjatydy gmachu opery, rzucające się w szalony taniec... z ręki Oskara wypadła główka złota bachautki, usta jego nachylały się coraz bliżej szukając jej ust i wyszeptały cichutko, podczas gdy ręka przesuwała się wzdłuż jej obnażonego ramienia z namiętną pieszczotą: „Jak gładką masz skórę,.. niczem Cezar, mój Arab!"

Ema zerwała się, wysunęła z ramion jego, wybuchnęła śmiechem.

Wino rozwiązało usta jej kochanka; na szczęście słowa które wyrzekł, miały moc powstrzymania jej w chwili szału.

Nie wiedziała, czy śmiać się, tak się jej wydało komicznem; czy płakać... bo zawód i rozczarowanie ból jej sprawiały.

Oskar zmięszany, trochę śmiał się jednak z nią razem, dopóki ona się śmiała.

— Podaj mi okrycie! — rzekła nagle.

Otuliła się futrem, zarzuciła koronkę na głowę.

— Jakto? odchodzisz? — zapytał Oskar.

— Jak widzisz!

— Mój Boże! Czy wyrządziłem ci jaką przykrość?

Gniewasz się na mnie? Obraziłem cię czem? — zawołał z żalem.

— Nie! nie! jesteś poczciwym, dobrym chłopcem — odrzekła.

— A więc pozostań!

Stanął we drzwiach, zasłonił je całą szerokością swych piersi; oczy jego ciskały błyskawice

— Sądzę, że nie zechcesz pan siłą zatrzymywać kobiety! Powiadam ci, muszę odejść natychmiast.. przypomniałam sobie rzecz ważną. Nie bądź-że dzieckiem! — rzekła z wyrazem prośby, usuwając go małą swą rączką— Bądź posłuszny, albo pogniewam się na zawsze!

Zbladła i drżała w ciepłym tym pokoju okryta futrem.

Oskar przepraszał... zmięszany bełkotał niewyraźnie, usprawiedliwiał się sprowadzając Emę do powozu.

— A to kapryśna kobieta! — rzekł wróciwszy do pokoju Na dywanie leżała jeszcze porzucona czarka i lśniły krople rozlanego wina. — Piękna kobieta — ale znarowiona... zupełnie jak ten Cezar bestyjka. — Powróci jednak wie, że ją kocham, — dodał wychylając kieliszek wina.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LE RÈVE.

Gdy po wojnie z r. 1870-go przystępował Zola do studjów nad społeczeństwem francuskiem z czasów drugiego cesarstwa, mistrz naturalizmu nie po różach stąpał.

Majątku nie miał żadnego. Ojciec jego inżynier włoski, budową kanału pod Aix, w Prowancji, niemal ze szczętem zrujnowany, zmarł w r. 1847-ym, pozostawiając rodzinę w ubóstwie. Emil liczył wtedy zaledwie siedm lat. Po skończonych naukach, które do reszty wyczerpały fundusze trzeba było utrzymać siebie i matkę; Zola potanowił piórem zdobyć przyszłość, a wiadomo, jak piórem zdobyć ją ciężko.

Młody nieznany pisarz, stający przed majestatem wydawcy, z rękopisem powieści w ręku, jakich nie przechodzi wrażeń, zanim po rękopis ów wyciągną rękę! A potem trzeba przecież zdobyć czytelników. Zola przeszedł przez to, gdy chodziło o „Tajemnice Marsylji.“

Stare dzieje.

Szczęściem trafił później na Charpentiera. Stawił się przed nim bez rękopisu nawet. Wydawcę zdobył śmiałym projektem. Przedstawił mu plan swoich „Rougon Macquart'ów“ i.. znalazł nakładcę.

— Ażebym jednak zamiary moje wykonać mógł — mówił autor „Assommoir'u“ i spokojnie pracować był w stanie, nieodzownie potrzebuję 500 fr. miesięcznie.

— Będziesz je pan miał — odparł nakładca — obliczymy się następnie co roku, odpowiednio do ilości sprzedanych tomów.

Stanęła ugoda i Zola zabrał się do pisania. I pojawiały się się kolejno: „La fortune des Rougon“ „La conquete de Plassans“ i t. d. i t. d. aż do „L'Assomoir'u. Co miesiąc, wedle umowy, nakładca wyliczał pisarzowi 500 fr. dodając po roku, co dodać wypadało po ogólnym obrachunku. Dodawał zapewne sporo.

Nareszcie przyszła kolej na „Assomoir.“

W przeciągu paru tygodni zbyto 50,000 egzemplarzy powieści (liczba ta potroiła się następnie.)

Wtedy Charpentier zgłosił się do Zoli.

— Przyjacielu — rzecze do niego — zbyt wiele zarabiam twoim kosztem, aby módz dalej z czystem sumieniem utrzymać pierwotny nasz układ; zawrzyjmy inny.

Zola oczywiście zgodził się na propozycję i pisze dalej pisze bez wytchnienia, złote piórem zarabia góry, złote zarabia góry nakładca jego. Krytyka ciska się i zżyma od czci odsądza i wiary. Zola się broni i... pisze dalej. Pomiędzy szeregiem tomów stanowiących cykl „Rougon-Macquart'ów,“ pojawiają się studja literackie i krytyczne, jak „Mes Haines,“ „Le naturalisme' au théatre“, zbiory nawet, jak „Contes a Ninon“ „Nouveaux contes a Ninon“ „Nais Micoulin,“ „Capitaine Burle i t d.

Przychodzi kolej na „Nanę“ „Po Bouile“—krzyki wzmagają się i rosną za pojawieniem się „Le joie de vivre“ Germinal,“ „L'oeuvre“ Uczniowie mistrza opuszczają, występują z protestem przeciw niemu.

W odpowiedzi Zola wypuszcza w świat „Ziemię“ i oburzenie wzrosło do maximum..

„La terre“— gwałtu! Z upodobaniem kąpie się w brudach — twierdzi krytyka — zlota szuka kał podając czytelnikom, skandalem żyje.“

— Talent olbrzymi, prawda — ale jak użyty!

A Zola na to pisze „*Le rêve*“ „Sen“ ów piętnastoletnia dziewczyna ku zbudowaniu własnemu czytać może.

— A to co? — zapytuje krytyka, zbita z tropu. — Co jemu się stało?

I oto po namyśle przychodzą mniej więcej do następujących wniosków: — „Snem“ chciałby się widocznie do Akademji wkupić, albo i tu przeczy sama sobie. — Oczywiście pragnie powiększyć dochody i pisze książki dla panien przystępne, wiadomo bowiem, że te ostatnie najwięcej zwykle miewają wydań

Są wreszcie i tacy, którzy powstania „Snu“ zgoła nie pojmują. Ci ostatni wyjaśnień z ust mistrza wyglądają,

Współpracownik np. *Nowej gazety zurychskiej*, p. Ernest Leblanc, wprost listownie zapytuje Zolę, co miał na myśli, pisząc ostatnią powieść.

A oto mniej więcej odpowiedź:

„*Royan* 1-go października 1888 r.

Kochany panie i kolego!

List twój odebrałem w zaciszu w którem corocznie szukam wytchnienia, daruj więc jeżeli krótką dam ci odprawę.

Zresztą nie mam ci nic do powiedzenia, coby na szczególną zasługiwało uwagę. Zamierzałem zawsze w cyklu, „Rougon Macquartów“ pomieścić dzieło, poświęcone sennemu marzeniu, życiu fantazji, czynicie mi bowiem zarzuty, że zamało się z niem liczę; obecnie przyszła kolej na dzieło to i napisałem je.

Łatwo po przeczytaniu książki ocenisz pan stanowisko jakie względem dotkniętego przedmiotu zająłem, wypowiadam się bowiem jasno, starając się przytem usilnie, aby rzecz dla wszystkich była dostępna.

Pełen szacunku i życzliwości.

Emil Zola.

No — i nic więcej; czy to krytykom wystarczy?.

— *S* —

Przegląd muzyczny.

(*S. M.*) Pomimo, że sezon operowy w teatrze lwowskim rozpocznie się tego roku dopiero z pierwszym grudnia, a więc później niż zwykle, ruch muzyczny we Lwowie rozpoczął się już na dobre. Zanim przystąpimy do oceny produkcji, które się odbyły w ostatnich dniach, musimy cofnąć się nieco, by załatwić się z restancjami dawniejszemi.

Pierwszym koncertem w tegorocznym sezonie był koncert skrzypka pana *Godebskiego*, syna słynnego artysty-rzeźbiarza

Młody artysta przeznaczył dochód z tego koncertu na rzecz Weteranów z r. 1831. Jeżeli szlachetny cel koncertu zasługuje na szczere uznanie to z przykrością musimy wyjawić, że tego samego o grze samej wypowiedzieć nie możemy. Jest tam wiele ciepła, zapału, szczerych chęci, szkoły, a nawet talentu, ale o artyzmie, jak na dzisiaj na serjo mówić nie można.

Wkrótce po koncercie p. Godebskiego, który materjalnie wypadł nie źle, chciała się przysłużyć tymże samym Weteranom z r. 1831, panna *Dolores de Camilli* (Czesnak) i zrobiła ze swym koncertem fiasco zupełne tak pod względem kasowym jak i artystycznym. Wprawdzie pewna część „niezawisłej“ krytyki muzycznej była innego zdania, sądząc że wobec tego, że na koncercie były pustki, a więc prawie nikt śpiewu nie słyszał, można pisać byle co, my jednakże jesteśmy innego zdania i wypowiadamy takowe szczerze i otwarcie. Głos panny Camilli to bardzo obszerny mezzo-sopran, nad którym właścicielka może nawet wiele pracowała, w całości nie robi jednak na słuchaczu miłego wrażenia. A już najfatalniejszym był dobór programu. Klasyczna arja Glucka, koloraturowa pieśń Rossiniego, ognista pieśń Bizeta z „Carmen“ Mazurek „Chopina“ itp. przeciwieństwa, świadczą najwymowniej jak niezdecydowaną jest artystka na punkcie, jaki rodzaj utworów jej głosowi odpowiada.

Dzień 25. października był dla muzykalnego Lwowa bardzo zajmujący. W dniu tym odbyła się w teatrze premiera wybornej operetki Artura Sullivana „Mikado“, a w sali „Domu Narodnego“ koncert słynnej śpiewaczki pani *Minnie Hauk*. Formalnie zagadkową jest u śpiewaczek chciwość pieniędzy. Minnie Hauk, jedna z pierwszorzędnych gwiazd artystycznych której przez lat tyle towarzyszyły olbrzymie sukcesy, zaszczyty i dochody pieniężne, gdy już sama musiała się przekonać, że głos jej niegdyś wspaniały, dziś już wspaniałą ruinę, w której gdzieniegdzie błyśnie złocony szczyt wieżycy zaoszczędzonej przez nielitościwy ząb czasu, gdy już sama to poznać musiała, że znakomita umiejętność śpiewania nie starczy na dostateczne pokrycie braków głosowych, taka Minnie Hauk miasto zaprzestać dziś produkowania się za pieniądze i wypocząć na dobrze zasłużonych laurach, szarpie sama swą sławę obecnymi występami. Publiczność opuściła salę w znacznej części rozczarowana.

Inaczej działo się tego samego wieczora w teatrze na przedstawieniu „Mikada“. Sullivan swoją operetką stworzył coś zupełnie oryginalnego, odrębnego. Muzyka pełna prostoty i wdzięku, bez sztucznego i zbytecznego szukania po omacku za efektami, robi na słuchaczu bardzo miłe wrażenie Kompozytor nie rwie się niepotrzebnie do stylu poważniej opery, nie popadł przeto w wadę znacznej części spółczesnych kompozytorów operetkowych. Przytem „Mikado“ odznacza się wyborną harmonizacją, a nawet pracę kontrapunktową jak n. p. Madrygat czterogłosowy w drugim akcie, który śmiało nazwać można skończonym. Instrumentacja nadzwyczaj umiejętna w wielu miejscach bardzo udatnie naśladująca prymitywne motywa japońskie, jak np. motyw marszowy w uwerturze, który stanowi później tło dla chórów w operetce W ogóle całość muzyczna jest ze wszech miar udałą i piękną. Mniej dowcipnem jest libretto Gilbeta. Jedyną zasługą librecisty jest oryginalny pomysł, przeniesienia akcji aż do Japonji, przezco akcja cała nabiera oryginalności i staje się nieco zajmującą.

Do najpiękniejszych miejsc operetki, należy wejście chóru pensjonarek, a następnie trzech sióstr, liryczna pieśń wstępna Nanki-Poh, pieśń Katishy, a nareszcie przepiękny finał aktu pierwszego. W drugim akcie madrygał romans o słoneczku Jum-Jum. pieśń Ko-Ko'a o sikoreczce, a nareszcie kuplety Mikada i duet Katishy z Ko-Ko. Oprócz muzyki odznacza się „Mikado“ nadzwyczajną wystawą, a dyrekcja dołożyła wszelkich starań by takowa jak najświetniej wypadła co się jej w zupełności udało. Nadzwyczaj trudna, a przytem piękna gra wachlarzami oddaną została na scenie lwowskiej wcale dobrze Że „Mikado“ tak pięknie został wykonany, to zasługa żmudnej pracy kapelmistrza p Henryka Jareckiego i reżyszera p. Skalskiego. Z artystów biorących udział w przedstawieniu zasługują na szczere uznanie panie Radwan, Kasprowiczowa, Skalska i Piasecka; pp. Skalski, Myszkowski, Jerzyna, Piasecki i Gasiński.

Na przyszły miesiąc wystawi dyrekcja teatru po raz pierwszy we Lwowie, operę Thomasa „Mignon“ z panną Heller, która została do tutejszej opery angażowaną Jeżeli dyrekcja i tu dołoży tyle starań co dla „Micada“ sukces jest zapewniony.

W niedzielę 4 bm. wystąpił dyrektor p. Ruddlf Schwarz z pierwszym koncertem galic. *Tow. muzycznego.*

Program był nadzwyczaj zajmujący. składał się bowiem z czterech numerów, z których trzy po raz pierwszy we Lwowie wykonano. I tak usłyszeliśmy uwerturę do nowej niedawno w Paryżu wystawionej opery *Edwarda Lalo „Le roi d'Ys“*. Bardzo zajmujący ten utwór, który sam dla siebie może stanowić całość, zdradza niepospolity talent kompozytorski. Piękne motywa wprowadzone lirycznie, dramatyzuje następnie kompozytor prawdziwie znakomicie. Cały utwór zbliżony bardzo do stylu Wagnerowskiego posiada nawet reminiscencje prawdopobnie przypadkowe z tegoż oper np. z Tanhäusera Wykonanie tego utworu zaszczyt przynosi Tow. muzycznemu. Orkiestra zaprezentowała się imponująco. Wystarczy powiedzieć, że grało 15 pierwszych skrzypków, 6 wiolonczeli, 4 kontrabasy itd.

Nowością były wcale piękne chóry kompozycji barona Romaszkana. Kompozycja podobała się ogólnie, a wykonanie zasługuje na uznanie.

Równie bardzo pięknie odegrał p. Wszelaczyński 20-ty koncert Mozarta, z kadencjami *Beethovena* z towarzyszeniem orkiestry. Jako numer ostatni odegrała wielka orkiestra nie graną dotychczas we Lwowie symfonję Schumanna Arcytrudny ten utwór wykonano z precyzją, a tylko co do tempa w „Scherzo“ daloby się nieco podyskutować. Całość koncertu wypadła ze wszech miar bardzo pięknie, a dyrektor p. Schwarz zaskarbił sobie ogólne uznanie.

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

P. Aniela Tripplin, utalentowana nowelistka, gościła w Krakowie w przejeździe do cieplejszych krajów, gdzie się udaje dla poratowania zdrowia. Komedję jej *Stryj i synowiec*, przedstawić ma teatr krakowski w styczniu lub lutym to jest w porze, w której autorka powracać będzie z zagranicy.

Teatr i muzyka.

W teatrze lwowskim przedstawiono w dzień zaduszny od kilkunastu lat niegraną tragedję Grillparzera p. t. „Matka rodu Dobratyńskich“ (Die Ahnfrau) w przekładzie Starzyńskiego. Sztuka ta znana dobrze statszemu pokoleniu robiła za czasów Kamińskiego a następnie za pierwszej dyrekcji Miłaszewskiego jeszcze, ogromny efekt. Od czasów młodego niemieckiego poety do dzisiaj, zrobiła sztuka dramatyczna kolosalną drogę i dzisiaj duchy i romantyczne tajemnice starego zamku, nie zdołają wywrzeć na przeciętnym widzu tego wrażenia, jakie osiągały przed pół wiekiem, gdy w literaturze królowały mgliste romanse Walter Scotta. To też sztuka Grillparzera, zabytek epoki mgły i galarety, nie odpowiada dzisiejszym wymogom scenicznym zupełnie. Dzisiaj szukamy we wszystkich płodach literatury i sztuk pięknych prawdy realnej, codziennej i temat chociażby najzwyklejszy i tysiąc razy omówiony, przedstawiony w nowem oświetleniu, z siłą i wiernością charakterów, może być najbardziej zajmującym i musi zdobyć sobie uznanie. Wznawianie starych utworów dobrem jest wtedy tylko, jeżeli ma za przedmiot arcydzieła, które się nigdy przestarzeć nie mogą. Sztuka Grillparzera do nich nie należy.

Zresztą repertoar lwowskiego teatru nie przedstawia w tej chwili urozmaiconej mozajki. „Mikado“, „Mikado“ i jeszcze raz „Mikado,“ dla odmiany zaś melišny oprócz Grillparzera, Fredrę i nową francuską farsę pt. „Cocard i Bcoquet,“ o której osobno pisać szkoda czasu.

Teatr ruski zakończył szereg swoich przedstawień we Lwowie d. 1. bm. sztuką Barwińskiego pt: „Pawło Połubotok, ostatni hetman Ukrainy,“ o tendencji antirosyjskiej. Dwa przedstawienia trupy pp. Biberowicza i Hryniewieckiego w teatrze skarbkowskim dały ją poznać szerszej publiczności polskiej z jak najlepszej strony. Teatr ruski daje obecnie przedstawienia w Stryju.

Alfons Daudet przedstawił dyrektorowi teatru „Gymnase“ sztukę osnutą na tle własnego romansu zatytułowaną: „Walka o byt.“

Pani Zimajer i jej córka panna Helena Zimajer, zostały zaangażowane do teatru lwowskiego na rok.

Z sfer muzycznych. Panna Hermina Patkiewicz wystąpi na scenie lwowskiej w grudniu br. Na debiut wybrano „Fausta.“ Słynny skrzypek Józef Joachim zapowiada jeden koncert we Lwowie w sezonie tegorocznym. — Władysław Mierzwiński występuje obecnie w Kolonji.

Sara Bernhardt rozpoczęła szereg występów gościnnych w wiedeńskim Theater an der Wien „Damą kameliową“ Dumasa i „Fedorą“ Wiktoryna Sardou.

W operze peszteńskiej wystawiono jako pierwszą nowość sezonu operę Bizeta „Poławiacze pereł.“ Dzieło to o nudnem libretcie i muzyce nie zdradzającej w niczem rozwiniętego później talentu kompozytora „Carmen,“ upadło zupełnie.

Sztuki plastyczne.

Ze sztuki. Utalentowany artysta-rzeźbiarz, p. Jan Wcydyga udaje się wkrótce dla dalszych studów do Rzymu, na koszt warszawskiego Tow. zachęty sztuk pięknych

Zbiór obrazów i szkiców, pozostałych po zmarłym niedawno w Krakowie malarzu śp. Stanisławie Rostworowskim, ma być przewieziony do Warszawy. Wśród utworów zawcześnie zgasłego artysty szczególniejsze zajęcie obudza wielkie płótno, niezupełnie wykończone a przedstawiające „Mojżesza na puszczy.“

Kronika powszechna.

Wydział matematyczno-przyrodniczy wiedeńskiej akademii umiejętności otrzymał od p. Ignacego Zakrzewskiego, asystenta fizyki na uniwersytecie krakowskim, manuskrypt znaleziony po śp. Wróblewskim, a omawiającym „zgęszczenie wodoru.“

Z świata akademickiego. Życie między młodzieżą akademicką lwowską zdrowem bije tętnem. Młodzież rusza się żywo i praw swego obywatelstwa akademickiego broni z żwawą energją. „Czytelnia akademicka“ zagrożona została przez władzę rozwiązaniem kółek naukowych, które stanowią jej część integralną. Walne zgromadzenie akademików zwołane w tej sprawie postanowiło użyć wszystkich prawnych środków, ażeby do tego nie dopuścić. Jest nadzieja, że sfery decydujące nie podzielą zdania dyrekcji policji i na dalsze istnienie „kółek“ w łonie „Czytelni“ pozwolą. Inaczej „Czytelnia“ musiałaby przyjąć cechę klubu dla wspólnej zabawy. Prezesem „Czytelni“ lwowskiej został akad. Laskownicki, prezesem „Bratniej pomocy“ lwowskiej, akad. Kopia. W tych dniach zawiązało się w „Czytelni“ nowe kółko pod nazwą „Wygoda“ mające zadanie dostarczyć akademikom taniego a zdrowego wiktu i kółko szermierzy.

Zmarli.

† **Walenty Nasierowski**, jeden z ostatnich Belwederczyków, zmarł 27 bm. w Poznaniu.

† **Herman Scholze**, profesor pr. państwowego na uniwersytecie w Heidelbergu, zmarł tamże w 64 roku życia.

Zadanie pomnikowe

(ułożył p. Stanisław Faliszewski w Nižankowicach).

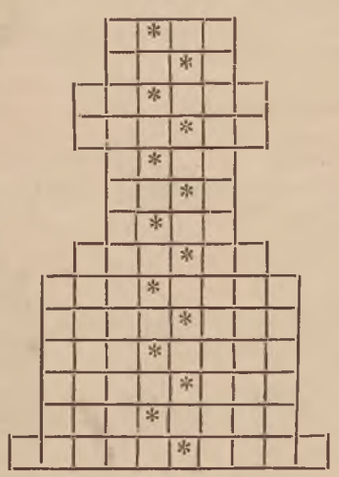

1) Rzeka na prawym brzegu Dniepru pamiętna bitwą r. 1193. 2) Jedna z mniejszych planet. — 3) Nazwa kraju. — 4) Ptak bajeczny. 5) Nazwa litery greckiej. — 6) Jedna z machin prostych. — 7) Gromada wysp. przy zachodniem brzegu Sumatry. — 8) Znakomity wódz madziarski. — 9) miejscowość w gub. kieleckiej pamiętna napadem Andrzeja Zborowskiego. — 10) Rzeka w Rosji wpadająca do Wołgi. — 11) Jedna z ameryańskich rzeczy pospolitych. — 12) Miasteczko w Galicji. — 13) Ubiór księży katolickich toż samo co sutanna. — 14) Dwa imiona jedno żeńskie, drugie męzkie.

Miejsca wypunktowane w zygzak po sobie następujące zastąpione literami dadzą nazwę uroczystości i przedmiot na niej używany.

Repertoar teatralny.

Poniedziałek. Dwaj dragoni
Wtorek. Pani Favart
Środa. Rigoletto.
Czwartek. Opowieści Hoffmana.
Piątek Fatinica.
Sobota ? ?

☞ Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść Cecylii Szs-Łady „Wbrew obowiązkiem.“**

Rozwiązanie kryptogramu.

M	a	d	a	l	i	ń	s	k	i
W	**i**	a	r	o	g	o	d	n	y
A	r	**c**	y	k	a	p	ł	a	n
K	a	r	**k**	o	n	o	s	z	e
K	o	ś	c	**i**	u	s	z	k	o
K	r	a	s	z	**e**	w	s	k	i
M	a	l	c	z	e	**w**	s	k	i
A	r	t	e	m	i	s	**i**	o	n
N	i	e	m	c	e	w	i	**c**	z
M	**i**	**c**	**k**	**i**	**e**	**w**	**i**	**c**	**z**

Mickiewicz.

Rozwiązanie zadania djamentowego.

Hassylina.

Rozwiązanie nadesłali: Pp. Wanda Kopacz ze Stanisławowa, Dora Lehmann z Wyżnicy, Stan. Faliszewski z Nižankowic.

Po zarządzonem losowaniu nagrodę otrzymała **Dora Lehmann** z Wyżnicy.

ROCZNIKI „RUCHU“ z 1887 zawierające powieści i nowelle pióra: J. Kiellanda, Wołowskiego, Szczedryna, Iwana Franki, Bol. Czerwieńskiego, W. Soleckiej i innych, artykuły literackie, naukowe i społeczne pióra najlepszych pisarzy polskich, są do nabycia po 4 zł. za tom, (przeszło 100 arkuszy druku).

Komplety Ruchu z r. 1888 (18 zeszytów) po 3 złr.

TREŚĆ Nr. 32 (23). — W śmiertelnych zapasach, powieść przez J. Rogosza (c. d.) — Rada wiersz Wiktora Gomulickiego. — Henryk Szczerba powieść przez W. Solecką (c. d.) — Le rêve. — Przegląd muzyczny. — Kronika literacka i artystyczna. — Zadania. — Rozwiązanie Od Aministracji.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Błotnicki. Z drukarni nar. W. Manieckiego, zarządca Walenty Hodak.